

Trumpa kwadratura koła

Rozważania i spekulacje na temat sposobów zakończenia wojny na wschodzie Europy już od jakiegoś czasu stanowią ważną część światowej polityki. A po zwycięstwie Donalda Trumpa – co najzupełniej oczywiste – bardzo się zintensyfikowały. Od 5 listopada nie ma w zasadzie dnia, w którym nie pojawiłyby się jakieś nowe, czasem na poły sensacyjne, przecieki prasowe na ten temat, albo deklaracje liderów politycznych, zwłaszcza w unijnej Europie.

Jeden z czołowych dzienników amerykańskich ogłosił już nawet tzw. „plan Trumpa” na przywrócenie pokoju, sprowadzający się do rezygnacji z członkostwa Ukrainy w NATO na lat dwadzieścia i częściowego rozbioru jej terytorium. Brzmi to wszystko jak jakaś bezwstydna banialuka, skoro ów sensacyjny „plan Trumpa” – to nic innego, jak trwający od przeszło dwóch lat stan faktyczny, polegający przecież na realnym rozbiórce części Ukrainy i oficjalnej inkorporacji tych terytoriów do Rosji oraz na konsekwentnym sprzeciwie Waszyngtonu i Berlina wobec zaproszenia Kijowa do NATO. Żeby sprawić, aby stało się to, co już i tak jest, nie trzeba planów tworzonych przez przywódców mocarstw. Rzecz bowiem rozbija się o coś całkiem innego – o to, że ten istniejący stan rzeczy przynosi jak dotąd nie pokój, ale dalszą wojnę. A zatem z samej logiki wynika, że ów aktualny stan musiałby zostać jakoś odmieniony, jeśli faktycznie działania wojenne miałyby zostać przerwane.

Na czym mogłaby polegać taka odmiana, będąca skutkiem dojścia do władzy Trumpa i jego ludzi? Bez wątpienia wizją dominującą w światowej publicystyce jest proste porzucenie Ukrainy przez Amerykę, do czego nie są wcale potrzebne jakieś układy z Moskwą „ponad głowami Ukraińców” (przed czym ze zgrozą przestrzega polski premier), ale wystarczyłaby blokada militarnego i finansowego wsparcia dla Kijowa. Najdalej w ciągu paru miesięcy armia ukraińska musiałaby się wycofać, być może aż za Dniepr, a Zełeński przyjął upokarzające warunki podyktowane mu przez Putina. Chyba, żeby uznał (niesławnym wzorem polskim z Powstania Warszawskiego), iż dla podręczników historii i przyszłego kultu męczeństwa narodowego lepiej dać wymordować ukraińską młodzież, a być może i zrujnować stolicę kraju. Ale niezależnie od historycznej roli, jaką na koniec chciałby jeszcze odegrać Zełeński, to Ukraina i tak na długie lata popadłaby w konwulsje i chaos, przekształcając się w państwo upadłe. Zresztą tak już bywało w przeszłości, choćby w czasach XVII-wiecznego Hetmanatu, nazywanych przez Ukraińców epoką „Ruiny”. Idąc dalej tropem tej analogii historycznej – wcześniej czy później, jakiś kolejny car Piotr zaprowadziłby w końcu porządek bezwzględą przemocą. Tyle tylko, że współczesna powtórka z „Ruiny” – to byłaby klęska Ameryki i kompromitacja Trumpa, nieporównywalna pod względem skali z porażką Bidena w Kabulu, a jeśli z czymś w ogóle porównywalna – to chyba tylko z katastrofą prezydentury Forda po sławetnych zdarzeniach z kwietnia 1975 roku w Wietnamie.

Imperialiści Trumpa nie sposób podejrzewać o zgotowanie tak spektakularnej klęski Ameryce i samemu sobie, i to zaraz na początku odzyskanego przywództwa nad krajem. Niestety jest faktem, że niektórzy rozbestwieni sukcesem, a przy tym mało rozgarnięci umysłowo członkowie rodziny Trumpa, dają pretekst dla tego rodzaju

skrajnie pesymistycznych rozważań, przez takie zabawy, jak choćby wysyłanie sobie memów z figurką Zeleńskiego i podpisem: „Masz 38 dni do utraty kieszonkowego”. Memów, które natychmiast obiegają media całego świata. Oczywiście intencja zakończenia finansowania Ukrainy przez USA na obecną skalę wśród Republikanów jest autentyczna i mocna, tyle tylko, że szansa na jej spełnienie warunkowana jest sukcesem nowego prezydenta w zaprowadzeniu w Europie jako tako ustabilizowanego pokoju. A to wymaga nie tylko ocalenia niepodległości okrojonej terytorialnie Ukrainy, ale również utrzymania jej w zachodniej (czytaj: amerykańskiej) strefie politycznej, czyli uczynienie jej państwem bezpiecznym. Zaproszenie do NATO plus wysłanie zaraz po rozejmie na Ukrainę żołnierzy sojusznicznych, choć niekoniecznie Amerykanów (jak już to zrobiono w krajach bałtyckich), byłoby fundamentalną odmianą paraliżującego *status quo*. A wciągnięcie Zeleńskiego w taką operację nie jest już dziś rzeczą specjalnie trudną. Liczne sygnały płynące z Kijowa czytelnie dowodzą, iż istnieje tam nie tylko świadomość trwałej utraty okupowanych terytoriów, ale także tego, że choć teraz nie jest wcale dobry moment dla Ukrainy do zawierania rozejmu, to zważywszy na sytuację wojenną, każdy późniejszy – może już być wyłącznie gorszy.

Prawdziwy węzeł gordyjski, który Trump musi rozplątać, tkwi zatem w Moskwie, która doskonale wie, że wojnę wygrywa, więc przy wszystkich trudnościach, czas gra jednak na jej korzyść. Przymuszenie silniejszego gracza do tego, żeby odpuścił i wycofał się z dalszej gry jest bodaj najtrudniejszą misją, jakiej w ogóle można się podjąć w polityce. W Kijowie nie bez racji powtarzają, że jedynym skutecznym sposobem jest w takich razach twarda manifestacja siły i – jak mówił ostatnio Podolak – zakładają, że pragmatyczny i zapatrzony w potęgę Ameryki Trump lepiej tę rzecz rozumie, niżli Biden, który sprawy na Ukrainie doprowadził do ślepego zaułka. „Musisz najpierw zadać mocny cios (...)

a potem dopiero masz możliwość prawidłowego ułożenia pionków na szachownicy” – tłumaczy Podolak w ciekawym wywiadzie dla „Meduzy”. I to jest ten kluczowy punkt, w którym Trump musi znaleźć sposób na odmianę *status quo*, jeśli zamierza przywrócić pokój, bez ryzyka konwulsji i upadłości Ukrainy. Zeleński publicznie wyraża wiarę, iż Trump potrafi to zdziałać, choć może być i tak, że prezydent Ukrainy robi tu tylko dyplomatyczną dobrą minę do złej gry.

Muszę przyznać, że nie mam jasności ani co do tego, czy Trump to zdziała, ani jak to może zdziałać. Nie widać niczego takiego, co mógłby obiecać Putinowi, aby Moskwę „przekupić”, oferując w zamian za zatrzymanie się na Ukrainie jakieś awantaże w innych częściach świata. Ani w Azji Środkowej, ani na Bliskim Wschodzie, ani w Europie Środkowo-Wschodniej – czyli na polach geopolitycznych interesujących dla Putina, Ameryka nie ma dziś żadnego szerszego pola gry z Moskwą. Co więcej, jako uczestniczka osi Pekin-Moskwa-Teheran, Rosja pozostanie krajem wrogim wobec Ameryki i jej interesów, więc zapewne nawet do rzeczy tak małej, jak pełne zniesienie sankcji, Trump nie jest w stanie się zobowiązać. A skoro Putin nie ma niczego do „zarobienia” na rozejmie, poza terytoriami, które i tak zdobywa nie w negocjacjach, ale kosztem krwi swoich żołnierzy, to Trump stoi w tym punkcie w obliczu kwadratury koła. By skłonić Kreml do rozejmu na zasadach „koreańskich” potrzebowałyby najpierw uderzyć w Rosję o wiele mocniej, niżli uczynił to dotąd Biden. No ale wiemy dobrze, że tak Trump, jak i cała amerykańska prawica właśnie tego bardzo chciałyby uniknąć. To zresztą znany syndrom, który stratedzy wojenni zwykli określać paradoksem „deeskalacji przez eskalację”. To ten paradoks sprawił niegdyś, w czasach zimnej wojny, że to właśnie pacyfistycznie nastawiona ekipa Kennedy’ego i McNamary była najbliższej wywołania atomowej wojny światowej z Sowietami. I to ten sam paradoks dzisiaj sprawia, że w gruncie rzeczy nikt – łącznie z Trumpem i Putinem – nie

potrafi skutecznie zaplanować tego, jak mają się dalej potoczyć sprawy na Ukrainie. Jak to często bywa z wojnami, które nabierają własnej, niekontrolowanej przez polityków dynamiki, w tysięcznym dniu wojny na wschodzie jasne jest tylko to, że na froncie Ukraina ustępuje, a Moskwa prze naprzód. Cała reszta tkwi w sferze niepewności.

Jan Rokita